

Grzegorz Bębniak, OBEP IPN Katowice

Zajście na granicy w Rudzie Śląskiej

Kończył się upalny dzień 9 sierpnia 1939 r. Zegar wskazywał dokładnie 21.00, gdy polski strażnik graniczny Ludwik Pieczychlebek z posterunku w Rudzie Śląskiej, wybrał się na obchód powierzonego mu odcinka granicy. Przechodził właśnie w okolicach osady robotniczej „Karol Emanuel” (dziś Ruda Południowa), kiedy zauważył w szybko gęstniejącym mroku sylwetki kilkunastu mężczyzn, którzy najwyraźniej przekroczywszy przed chwilą granicę, śpiesznie podążali ku pobliskiej kopalni „Walenty-Wawel”. Na wezwanie Pieczychlebka, poparte niedwuznacznym gestem ściągniętego z ramienia karabinu, zatrzymali się niezdecydowanie. W chwili, gdy strażnik miał zamiar podejść do grupy wyraźnie speszonych nagłym pojawieniem się uzbrojonego funkcjonariusza osobników, otrzymał silny cios w tył głowy. Upadł, lecz nie stracił przytomności. Zatrzymani mężczyźni jakby na to czekali. Rzucili się na Pieczychlebka, kopiąc go i okładając trzymanymi w rękach przedmiotami. Jeden z osobników wykorzystał w tym celu leżący obok strażnika karabin; uderzenia były tak silne, że wkrótce pękła w nim kolba. Inny, stanąwszy nad oszołomionym funkcjonariuszem, wydobyl z za pasa pistolet i po przeładowaniu przyłożył Pieczychlebkowi do głowy.

Widząc wymierzoną w siebie broń, z której w następnej sekundzie paść mógł śmiercionośny strzał, strażnik odzyskał na chwilę siły. Chwytał uzbrojoną dłoń i wykręcając ją, zwrócił lufę w kierunku napastnika, który w tej chwili naciskał spust. Rozległ się strzał. Trafiony w głowę mężczyzna padł jak rażony piorunem, zaś jego koledzy błyskawicznie stracili rezon. Porzucając niesione przedmioty, pędem ruszyli ku pobliskiej granicy. Wkrótce znikli w nocnym mroku.

Dotkliwie pobity i poraniony Pieczychlebek, posługując się zniszczonym karabinem jak laską, zdołał jakoś dobrać do pobliskich zabudowań. Stamtąd zaalarmował policję i straż graniczną, które szybko pojawiły się na



Zwłoki Henryka Krafczyka na miejscu zdarzenia. W ręku widoczny pistolet, z którego padł śmiercionośny strzał. Ze zbiorów Archiwum Państwowego w Katowicach.

miejscu. Dzielnego strażnika przewieziono do szpitala (nazajutrz katowicka „Polonia” donosiła, iż „stan jego jest poważny, lecz życiu nie zagraża niebezpieczeństwo”), zaś ekipy śledcze przystąpiły do zabezpieczania znalezionych na miejscu zdarzenia śladów. A było ich niemało.

W zdeptanej trawie, skulone w nienaturalnej pozycji, spoczywały zwłoki mężczyzny. W wyciągniętej dłoni trzymał jeszcze pistolet, który okazał się wojskowym modelem Walthera PP kalibru 7,65 mm. Pocisk uderzył w okolice prawego oka, roztrzaskał kość skroniową i utkwił w mózgu. Śmierć musiała nastąpić natychmiast. Nie mniej interesujące było to, co zaskoczeni policjanci podnosili z ziemi, a co porzucone zostało przez uciekających w panice współtowarzyszy zabitego. Były to lśniąca nowością czechosłowackie pistolety maszynowe ZK 383 kalibru 9 mm, produkowane w przejętym niedawno przez Niemcy koncernie *Zbrojowka Brno*. Pod nową nazwą, już jako MP 383(t), przyjęte zostały do wyposażenia niemieckich formacji wojskowych i policyjnych. Nazbierano ich trzynaście sztuk; prócz nich w nocy i nad ranem odnaleziono liczne paczki z amunicją.

Nikt z obecnych nie miał raczej wątpliwości, czemu służyć miała znaleziona broń i kim byli osobnicy przekradający się pod osłoną ciemności



Pistolet maszynowy ZK 3838 produkcji czechosłowackiej, po zajęciu Czech produkowany przez Niemców jako MP 383(t).

przez granicę. Już od chwili jednostronnego wypowiedzenia przez Niemcy deklaracji o nieagresji w kwietniu tego roku, podobne incydenty na polsko-niemieckiej granicy stawały się chlebem powszednim. Nie tylko zresztą tam – coraz częściej w miastach i miejscowościach województwa śląskiego aresztowano przedstawicieli niemieckiej mniejszości podejrzanych o organizowanie działań dywersyjnych, a meldunki agenturalne, napływające z położonego już po drugiej stronie granicy niemieckiego Bytomia czy Zabrze, donosiły o werbowaniu poszukujących pracy w Niemczech polskich Górnoślązaków do tajemniczych formacji zbrojnych, zbiorowo określanych jako „*Freikorps*” (korpus ochotniczy). W Zabrzu przy ówczesnej Kronprinzenstraße (dzisiejsza ul. Wolności) specjalnie wynajęto nawet restaurację, w której dyżurował (jak pisano w raportach) „niejaki Wieczorek”, przyjmując zgłaszających się kandydatów. Później, już we wrześniu 1939 r., tenże Ewald Wieczorek (a ściślej „Wulfen”, gdyż nazwisko brzmiące nazbyt słowiańsko zmienił jeszcze w lipcu 1939 r.), działacz zabrzańskiejszej *Ortsgruppe der NSDAP* „*Scharnhorst*”, będzie jednym z dowódców oddziałów w kierowanej przez kapitana Ernsta Ebbinghaus *Sonderformation Ebbinghaus*, zwanej najczęściej *Freikorps Ebbinghaus*.

Sprawą pierwszorzędną stało się teraz ustalenie tożsamości zabitego: „zwłoki zastrzelonego”, jak informował policyjny raport, „nie zostały dotąd zidentyfikowane z braku dowodów osobistych [...]. Zachodzi podejrzenie, że osobnik pochodzi z tut[ejszego] terenu, a w Niemczech w okolicy Bytomia pracował w górnictwie, hutnictwie lub jako zwykły robotnik, na co wskazywałyby jego ręce.” Zwłoki przeniesiono do kostnicy szpitala Spółki Brackiej w Bielszowicach, gdzie pieczołowicie zrekonstruowano uszkodzoną pociskiem twarz. Z okolicznych posterunków ściągnięto policjantów w nadziei, że któryś z nich rozpozna denata. Prócz tego po całym województwie rozesłano zdjęcia zabitego, a gdy i to nie odniosło skutku – zamieszczono ogłoszenia w ukazującej się w województwie prasie. Dopiero ten ostatni zabieg okazał się skuteczny.

Ogłoszenie takie ukazało się również 14 sierpnia 1939 r. w wydaniu popularnej gazety „Siedem Groszy”, zilustrowane dodatkowo policyjną fotografią. Traf chciał, że przeczytał je zamieszkały w Chorzowie 56-letni Antoni Krafczyk, inwalida hutniczy. Przeczytał – i nabrał najgorszych podejrzeń. Po złożeniu wizyty w kostnicy bielszowickiego szpitala podejrzenia te zamieniły się w pewność. Jak jeszcze tego samego dnia zeznał przed nadkomisarzem Brodniewiczem, kierownikiem Wydziału Śledczego Śląskiej Komendy Policji w Katowicach, „tu w kostnicy szpitala okazano mi zwłoki, w których rozpoznałem nad wszelką wątpliwość syna mego Henryka”.

Dzieje niemal dokładnie trzydziestoletniego (urodzonego 17 sierpnia 1909 r.) w chwili śmierci Henryka Krafczyka służyć mogą za swoistą egzemplifikację losów sporej grupy spośród całego pokolenia Górnoślązaków, którzy po 1921 r. zdecydowali się pozostać w przyznanej Polsce części regionu, co wiązało się również z przyjęciem polskiego obywatelstwa. Rodzina Krafczyków pochodziła z Lipin, dziś znajdujących się w granicach Świętochłowic. Henryk, ukończywszy szkołę powszechną, wyuczył się zawodu instalatora, zaś powołany do służby w Wojsku Polskim odbył ją w szeregach 74. Górnośląskiego pułku piechoty w Lublińcu. Przypuszczać można, że dłuższy czas pozostawał bez pracy; szalejący na świecie kryzys bezlitośnie obnażył słabości gospodarki nie tylko II RP. W takiej jak młody Krafczyk sytuacji znalazło się wielu mieszkańców regionu, i równie wielu zdecydowało się na wyjście, które stało się także i udziałem Henryka – poszukiwanie pracy w nieodległych Niemczech, najczęściej w położonym wręcz po sąsiedzku Bytomiu, gdzie napędzany sztucznie podyscyaną koniunkturą przemysł potrzebował



W kostnicy Szpitala Sp. Brackiej w Biełszowicach znajdują się zwłoki nieznanego mężczyzny, który uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. — Rodzina wzgl. najbliżsi znajomi są proszeni o zgłaszanie się w Zarządzie Szpitala pomiędzy godz. 9-mą a 18-tą w celu rozpoznania zwłok i omówienia formalności pogrzebowych. — Fotografia przedstawia zwłoki nieznanego mężczyzny.

Wycinek z gazety „Śląski Kurier Poranny” z 15 sierpnia 1939 r.



W szpitalu Spółki Brackiej w Biełszowicach znajdują się zwłoki nieznanego mężczyzny, który uległ wypadkowi. Rodzina względnie najbliżsi jego znajomi są proszeni o zgłaszanie się w Zarządzie Szpitala, celem rozpoznania i omówienia sprawy formalności pogrzebowych. Ilustracja nasza przedstawia właśnie owego nieznanego mężczyznę.

Wycinek z gazety „Siedem Groszy” z 14 sierpnia 1939 r.

wciąż nowych rąk do pracy. By jednak móc w ogóle starać się o zatrudnienie w jednej z tamtejszych kopalń, musiał być członkiem jednej (lub nawet kilku) z działających w województwie organizacji mniejszości niemieckiej. Być może dopiero wtedy, a może już wcześniej, obydwaj Krafczykowie zgłosili akces do *Volksbundu*; Henryk należał też dodatkowo do *Gewerkschaft Deutscher Arbeiter*, czyli niemieckiego związku zawodowego. Trudno ocenić, w jakim stopniu wybranie takiej, a nie innej opcji, było efektem autentycznego wewnętrznego przekonania; w jakim zaś decyzją *stricte* utylitarną. Na pewno jednak – jak już napisałem – nie był to przypadek odosobniony. Wręcz przeciwnie.

W Bytomiu Henryk Krafczyk dzielił los tysięcy podobnych sobie. Zamieszkał początkowo w tzw. *Ledigenheim*, czyli domu noclegowym dla samotnych mężczyzn, w rodzaju znanych z lat PRL-u hoteli robotniczych (innym, równie częstym miejscem pobytu tej kategorii przybyszów były w Bytomiu tzw. *Schlafbausy*; te jednak mieściły się zazwyczaj przy kopalniach). Ów *Ledigenheim* zlokalizowany był całkiem dogodnie, bo wprost przy bytomskim rynku. Jednak panujące tam, niewątpliwie mało intymne, warunki (szesna-

stu mężczyzn zamieszkujących wspólnie w jednym pokoju) stanowiły obiekt skarg Henryka wobec ojca, gdy ten okazynie odwiedzał go w Bytomiu. Podczas ostatniej wizyty, w maju 1939 r., Henryk miał się też zwierzyć ojcu ze swoich życiowych planów – zamierzał opuścić *Ledigenbeim* i przeprowadzić się do nieznannej bliżej wdowy mieszkającej w okolicach ówczesnej bytomskiej *Promenadenweg* (pomiędzy dzisiejszymi ulicami Kolejową i Powstańców Warszawskich). W perspektywie było zatem to, czego tak gorąco pragnął każdy chyba ówczesny *Gastarbeiter* z terenu województwa śląskiego: małżeństwo, rodzina, stałe osiedlenie, pewna praca. Krótko mówiąc – życiowa stabilizacja. Wydaje się oczywiste, że człowiek snujący podobne plany nie miał raczej zamiaru rozpoczynać kariery *Landsknechta*. Co zawiodło zatem Henryka Krafczyka nad polsko-niemiecką granicę w feralną noc z 9 na 10 sierpnia?

Wspomniany *Freikorps* miał, jak się wydaje, charakter nie do końca ochotniczy. Bez wątpienia jakąś część jego członków stanowili członkowie mniejszości niemieckiej, w różnym stopniu zaangażowani w działalność wywiadowczą i dlatego też zmuszeni uchodzić z województwa śląskiego przed groźbą aresztowania. Dla nich, jak można sądzić, nie istniała alternatywna droga powrotu do domu. Inną (i na pewno znacznie liczniejszą) grupę stanowili natomiast robotnicy z polskiej części regionu, którzy w trybie, rzecz można, quasi-administracyjnym skierowani zostali do jednego z obozów szkoleniowych, przygotowujących kadry dla formacji kapitana Ebbinghausa. Taki też najpewniej los stał się udziałem Henryka Krafczyka. I nikt chyba nie zaprzętał sobie głowy tym, czy potencjalni bojownicy wstępowali tam *nolens* czy może *volens*. Jak można sądzić, istniała jeszcze jedna droga werbunku, pozbawiona już wszelkich pozorów dobrowolności: poszukujących zatrudnienia w Niemczech stawiano mianowicie przed alternatywą – praca, owszem, ale najpierw służba we *Freikorpsie*. Jeśli nie, droga wolna. O podobnych przypadkach przeczytać można w zeznaniach osób, które, starając się w Bytomiu o pracę, zmuszone były dokonywać takiego właśnie wyboru. Niejaki Oskar Wieczorek z Orzegowa, przesłuchiwany w czerwcu 1939 r. przez polskiego policjanta, mówił na przykład: „Od dwóch lat jestem bez zajęcia. Wiedząc, że w Niemczech można ewentualnie dostać pracę, udałem się przed trzema tygodniami do *Arbeitsamt* w Bytomiu. Tam zauważyłem więcej mężczyzn pochodzących z Polski. Koło nich uwijał się jakiś osobnik lat około 26, po chwili przystąpił również do mnie – przedtem jednak dłuższy czas mnie obserwował, wreszcie zapytał mnie, skąd jestem, przy tym kazał mi się wylegitymo-

wać, następnie pytał mnie o powód obecności w Bytomiu oraz o zawód i czy szukam pracy, gdy osobnikowi temu dałem stosowną odpowiedź kazał mi się udać wraz z nim do pewnego lokalu przy ul. Dworcowej. W lokalu tym wylegitymował mnie po raz drugi, po czym dał mi dziesięć złotych. Następnie tłumaczył mi, że zajmuje się formowaniem oddziału szturmowego [*Sturmgruppe*], do którego jednak werbuje się tylko ludzi z Polski. ...”

W przypadku Krafczyka trudno jednak uwolnić się od podejrzenia, że wyjątkowo ochoczo podszedł on do swojej nowej roli. Nikt chyba nie kazał mu wykonać pokazowej wręcz egzekucji na strażniku Pieczychlebku. I dlatego też właśnie bohater niniejszego tekstu zginął; w pewnym przynajmniej sensie – z własnej ręki.

Źródła i literatura:

Archiwum Państwowe w Katowicach, zespół: *Policja Województwa Śląskiego*.

B. Warzecha, *Niemieckie formacje nieregularne w kampanii na polskim Górnym Śląsku. Problem V kolumny* [w:] *Wrzesień 1939 na Górnym Śląsku*, pod red. G. Bębniaka, Katowice 2008, s. 75–95.

P. Dubiel, *Wrzesień 1939 na Śląsku*, Katowice 1960.